

5509

Szymonowski Krótkie
wspomnienie o życiu J. Rowa-
lewskiego.

KRÓTKIE WSPOMNIENIE
O ŻYCIU
JÓZEFA KOWALEWSKIEGO

DZIEKANA WYDZIAŁU FILOLOGICZNEGO SZKOŁY
GŁÓWNEJ WARSZAWSKIEJ.

PRZEZ

W. SZYMANOWSKIEGO.

WARSZAWA.
W DRUKARNI JÓZEFA UNGRA
przy ulicy Krak.-Przedm. Nr. 391.

—
1865.



Wolno drukować pod warunkiem złożenia po wydrukowaniu
prawem przepisanej liczby egzemplarzy w Komitecie Cenzury.

Warszawa dnia 20 Marca (1 Kwietnia) 1865 r.

Starszy Cenzor **Lachmanowicz.**

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
60 329 Warszawa, ul. Nowy Świat 77
Tel. 26-68-63

W niewielkiej odległości od Pekinu wznosi się jedna z przedniejszych chińskich lamaseryj.

Jest to prawdziwe miasto, pod względem rozległości zabudowań i mnogości mieszczących się w nich mieszkańców.

W około wytwornych świątyń, budowanych starannie, ale odznaczających się potwornymi szczegółami i jakby przygniecionych własnym ciężarem swoim, gromadzą się małe domki lamów, worzysto pomalowane. Z ogromnych, cyklopowych podstaw, strzelają wieżyczki wysmukłe i piramidy, jedna na drugiej sztucznie ułożone. Zdawałoby się że dla olbrzymów przygotowywano tam mieszkania, ponad któremi duchy powietrzne założyły swoje siedlisko. Mur podwójny, potrójny, poczwórny, w osobnych oddziałach stanowi obręby osobne. Bramy z jednego do drugiego oddziału prowadzące, przeznaczone są na dni uroczyste i świą-

teczne, na dozwole nie przejścia osobom wielkiej świętości, lub znakomitej powagi światowej. Obok bram małe furty stoją otworem dla miejscowych mieszkańców, oraz zwyczajnych gości i pielgrzymów.

Całość stanowi dziwaczny zbiór wytwornych baldachinów, perystylów o kręconych słupach, wieżyczek z dachami śpiczasto zakończonemi, a po bokach półokrągło ostremi rogami wznoszących się w górę, i nieskończonęj liczby wschodów, prowadzących do nieskończonęj także liczby tarasów i galeryj.

Żółte dachy błyszczą na słońcu; z wieżyczek różnobarwne wstęgi, z wypisanemi na nich sentencyami mistycznemi, spływają w powietrze; nie przejdiesz kroku, nie rzucisz okiem, żebyś nie napotkał wszędzie tych sentencyj przy tobie, okok ciebie, ponad tobą, na murze, kamieniu, płótnie, na kawałkach drzewa, na banderach masztów tu i owdzie sterczących, a na każdej z nich czarnemi lub czerwonymi literami znajdziesz wypisane imię Buddy i wyjątki ze świętej jego nauki.

W niszach śpiczasto zakończonych wznoszą się potworne postacie bogów, z nogami na krzyż złożonemi, z rękami wzniesionemi do błogosławieństwa, z wyrazem mistycznego zachwytu na wykrzywionęj twarzy, a tu i owdzie obok nich i pod niemi palą się aromatyczne kadzidła Wschodu i kręcą olbrzymie kręgi modlitewne, przez pobożnych w ruch wprowadzane. Piękna twarz samego Buddy, odznaczająca się rysami plemienia kaukazkiego, góruje ponad temi potwornemi i szatańskimi postaciami wyrazem dziwnej pogody; a po niezliczonych ulicach grodu poważnie

i milcząc przechodzi tłum zakonnych lamów, w szatach białych i czerwonych, z żółtymi mitrami na głowach. Po bożne to milczenie przerywa niekiedy pomieszany odgłos dzwonek, bębenków, cymbałów, piszczałek i trąb wzywających na modlitwę, ponad któremi góruje dźwięk olbrzymiej konchy morskiej, oznajmującej na wszystkie cztery strony świata, że sam Budda żyjący rozpoczyna błogosławne nabożeństwo swoje.

Bo też w istocie lamaserya ta jest jednym z najświętszych przybytków buddaizmu. Tam założył stolicę swoją Min-dżuł-Chu-tu-ktu, wcielony Bóg Fo-e, główny z szaberonów niebieskiego państwa, który już kilkanastokrotnie schodził pomiędzy synów ziemskich, dla przykładu, nauki i zbawienia.

Miejsce to święte przed świętami, bo mu nawet sam Bogdy-han, monarcha Środkowego państwa, syn słońca a brat księżycy, cześć i sławę oddaje, przysyłając tam kilka razy na rok w poselstwie wielkich dygnitarzy swojego dworu, dla wręczenia podarunków i uzyskania błogosławieństwa od Buddy wcielonego.

W miesiącu lutym r. 1830, z północy, od strony ziemi ziół, zbliżał się do tej lamaseryi znaczny poczet jeźdźców.

Więc naprzód szła przednia straż, złożona z Mongołów strojnie przybranych, uzbrojonych w łuki, włócznie i kałczany; dalej inni znów Mongołowie, ale już opatrzeni w samopały i krótkie zakrzywione miecze, rozszerzone przy ostrzu, z rękojeścią jaszczurem obitą; za nimi objuczone pakunkami wielbłądy postępowały zwolna, przez dwa

szeregi zbrojnych, bogato przybranych eskortowane. Dalej jechali dworzanie, składający się z mandarynów, o białych, czerwonych i niebieskich gałkach, postępujących w uroczystém milczeniu, z pewnym rodzajem bojaźni religijnej, rozlanym na nieruchomych rysach twarzy. Ci poprzedzali palankin, niesiony przez dwa strojnie przybrane muły, wprzężone do drągów pozłacanych. Wierzch palankinu przyozdobiony był złożoną frenzlą, ze spływającymi po bokach sutemi kutasami; boczne z obu stron drzwiczki pokryto jedwabnemi firankami z żółtej ciężkiej materii, z pod których wysuwały się jaskrawo malowane skrzydła dziwnych ptaków, paszcze smoków strasznych uzbrojonych kłami i fantastyczne bukiety kwiatów, na jakie tylko wybujała wyobraźnia chińskiego artysty zdobyć się może.

W palankinie siedział mąż niemłody już, ale dziwnie poważnej twarzy, na której malował się wyraz niewymuszonej dobrotliwości. Człek ów miał na sobie jedwabną, jasno-błękitną szatę, z wierzchu której zawieszony był fioletowy kaftan aksamitny, z sobolowemi wyłogami. Aksamitny również kołpak, obsyty futrem, pokrywał mu głowę, a z pod kołpaka dobywał się, mandżurskim zwyczajem, długi, spleciony warkocz włosów, jak kruk jeszcze czarnych. Siedział on oparty o jedwabne poduszki, z nogami pod siebie podgiętymi, a małe, zamglone, w kąt wygięte jego rzucały naokoło obojętne spojrzenia.

Poza palankinem młody, strojnie ubrany Tatarzyn prowadził na jedwabnym sznurku wielbłąda jak śnieg białego, z poduszką ze złotogłowa przytroczoną pomiędzy garbami, z przyczepionemi do uszów i do ogona chorągiew-

kami z żółtej materyi. Straż mongolska zamykała pochód.

Jadącym w palankinie był Wang (król) królestwa Udzu-Mudzyn, władca państwa, co obszarem swoim całym Niemcom dorównywa, hołdownik cesarza chińskiego, który na wielkie uroczystości początku roku przybywał do Pekinu, złożyć lenność i pokłon cieniowi Bogdy-hana, idącego do świątyni przodków, a po drodze pragnął uderzyć czołem przed świętym nad świętymi, wielkim Min-dżułem Chu-tu-ktu.

Otworzono główne wrota i przy dźwięku gongów i bębenków tybetańskich, orszak wszedł na pierwsze podwórze.

Wang wysiadł z palankinu i przyjąwszy pokłony lamów, którzy u drzwi drugiego obwodu zgromadzili się na powitanie, szedł dalej, oparty na ramionach dwóch najwyższych mandarynów swojego dworu, pozostawiając za sobą cały swój orszak. Poza królem dwaj lamowie na wielkiej srebrnej tacy niesli podarki dla Chu-tu-ktu przeznaczone.

I przeszli w tym porządku drugą, trzecią i czwartą bramę, aż wreszcie u końca piątego obrębu ujrzeli przed sobą złożone podwoje właściwego przybytku Min-dżuła.

Tutaj mandarynowie i lamowie upadli czołem do ziemi, i sam nawet władca tatarski przykląkł, oddając trzykrotny pokłon.

Zabrzmiał chrapliwy głos konchy morskiej, złociste podwoje stanęły otworem, a przez wspaniały przysionek i szereg okazałych komnat, orszak posuwał się zwolna, na klęczkach do wnętrza pałacu.

W głębi bogato zdobnej sali, na pięciu grubych jedwabnych poduszkach, pokrytych skórami tygrysiemi, sie-

dział Min-dżuł-Chu-tu-ktu, a obok niego na małym stoliku z lakki, stał pięknego wyrobu czajnik srebrny i serpentynowa filiżanka, z której co chwila popijał wonny napój.

Mandarynowie pozostali poza drzwiami, a Wang od samych podwoi upadłszy na twarz, czołgał się po kobiercu, nie śmiejąc podnieść głowy, ani dać oczom swobody oglądania twarz w twarz wcielonego Boga.

Tak przyczołgawszy się aż na środek komnaty, pozostał jak posąg nieruchomy i milczący w téjże samej postawie, z rękami złożonemi ponad głowę, a palcami z mnóstwem drogocennych obrączek wysuniętymi naprzód, w układzie modlitewnym i błagalnym.

Chu-tu-ktu wyciągnął ku niemu prawą rękę i wyrzekł kilka słów błogosławieństwa.

W téj chwili zbliżyło się dwóch lamów, z których jeden niósł czajnik srebrny, a drugi filiżankę ze starodawnéj, o przezroczyście złocistych barwach porcelany, i podał ją napełnioną herbatą leżącemu czołem do ziemi Wangowi.

Ten ostatni wyciągnął rękę, wziął podaną filiżankę i przytknąwszy ją sobie do czoła, oddał nietknięty napój posługującemu lamie, a potem, wyrzekłszy parę zaledwie zrozumiałych słów pożegnalnych, nie zmieniając postawy, wyczołgał się naprzód z komnaty, bacząc pilnie na to, ażeby głowa jego zawsze zwróconą była ku żyjącemu bóstwu.

W chwili kiedy potężny Wang oddawał w ten sposób świątobliwe hołdy wcielonemu Buddzie, obok Mindżuła, na takim samym jak i on wyniesieniu, które składało

pięć jedwabnych poduszek skórą tygrysiową pokrytych, siedział, popijając herbatę i przyglądając się rozciekawionym ale spokojnym wzrokiem całemu temu widowisku, młody Europejczyk w ubiorze chińskim.

Ten Europejczyk, zajmujący na równi z bóstwem Wschodu ołtarz ku czci jego wzniesiony, ten przedstawiciel cywilizacji i chrześcijaństwa, przyglądający się spokojnie najuroczystszym obchodom wiary, której początki mgła wieków zaciemniła, ten młody badacz i podróżnik, przebywający swobodnie w przybytku, do którego najpierwsi mocarze Wschodu ze drżeniem i na klęczkach zaledwie zbliżyć się ośmielają, był jak gdyby wcieleniem wielkiej konieczności postępu, mającej kiedyś wszechwładnie ogarnąć te oddalone kraje i wygnać z nich resztki odwiecznych przesądów i zabobonów.

Był to jakby odblask słońca zachodniej cywilizacji i prawdziwej wiary, postawiony obok sztucznych płomieni oświecających mistyczne źródło fałszu, skryształizowane w wiekowej zastałości swojej.

Tym Europejczykiem był ziomek nasz Józef Szczepan Kowalewski, jeden z najznakomitszych orientalistów, a obecnie dziekan wydziału filozoficzno-historycznego w Szkole Głównej warszawskiej.

W czasach kiedy lada podróżnik, zwidziwszy część wybrzeży małoznanego dotychczas kraju, a pochwycawszy u kupców, żołnierzy i marynarzy nieco kłamliwych i niedokładnych po większej części wiadomości, wydaniem opisu swoich podróży daleki zyskuje sobie rozgłos; kiedy uczony, nie wychodząc z poza ścian swojego gabinetu, zy-

skawszy od drugiego uczonego, w tychże samych kształconego warunkach, tradycyjne, rutyniczne wiadomości, przybiera szumny tytuł profesora wschodnich języków, który to tytuł i stopień naukowy nie domagają mu bynajmniej do rozmówienia się z członkami ambasady chińskiej i japońskiej, przybywającą do Paryża lub Londynu, w takich czasach, mówię, człowiek jak Kowalewski zasługuje na europejskie uznanie. To bowiem o czem inni ze słuchu za ledwie mętne nabrali pojęcie, on sam obejrzał i zbadał; widział na własne oczy rzeczy otoczone dla nas mistyczną tajemniczą, niedostępne przez wieki dla Europejczyków i przedstawiające im się przez jakiś pryzmat zmyśleń, fałszów i przesady, który nie dozwala w nich rozróżnić to, co rzeczywiście istnieje; tam wreszcie gdzie się kończy zwykła granica naszej wiedzy naukowej, gdzie najuczeńsi nie śmia już twierdzić, lecz tylko z nieufnością powtarzają Herodotowe: *mówią i słyszałem*, on jeden zapewne pomiędzy żyjącymi dziś śmiało może powiedzieć: „Wiem że tak jest a nie inaczej, bo się sam przekonałem o tém.“ Opisy podróży, pamiętniki, najdrobniejsze zapiski takiego człowieka, nieocenionym są skarbem dla archiwów wiedzy ludzkiej, z wieków na wieki przechowywanych; a cóż dopiero kiedy go się posiada samego, w pełni jeszcze sił i władz umysłowych, chętnego do udzielania wiedzy swojej drugim, a gotowego zawsze z nowoodradzającą się ciągle siłą do powetowania strat, które los w skarbach trudem całego życia przez niego nagromadzonych spowodował.

Północny środek Azji, kraje abajkalskie, tę ogromną

przestrzeń ziemi, zwąca się stepami mongolskimi, a odgraniczającą Syberyą od Chin; ludy starożytnością pochodzenia i osiedlenia swego nie ustępujące żadnemu z narodów stariej czy nowiej cywilizacji, a jednak żyjące jeszcze na stopie półdzikości; zbiór narodów i koczowisk, których liczby i osiedleń nikt jeszcze dokładnie nie zbadał, o których języku i zwyczajach niewieleśmy się dowiedzieli od czasów kantora Roberta i Jana de Plano Cąrpino, którzy sześć wieków temu zwiezali te okolice; mrowisko, z którego kolejną czasu, pod wpływem fanatyzmu lub jakiej mistycznej idei, miliony ludów wylewały się w najdalsze okolice, niszcząc wszystko przed sobą mieczem i ogniem i grożąc zagubą wschodniej cywilizacji; grunt urodzajny na pogromców ludzkości, na którym dzisiaj jeszcze, za znakiem danym przez które z bóstw wcielonych, ludy całe gotowe są zagrozić zerwaniem tam powstrzymujących je obecnie; wszystkie te ziemie, pokolenia, ludy, Kowalewski widział, poznał, zżył się z niemi, nauczył się ich języka, zwyczajów, najgłębszych tajemnic.

A olbrzymia to była praca, nadludzkie prawie wysilenie. Tam nie badać, nie odnajdywać, ale tworzyć trzeba było. Kowalewski utworzył też słownik i gramatykę mongolską, gramatykę języka, w którym żadne dotychczas nieistniały zasady, w którym każdy wyraz, każdy zwrot, każdą przenośnię, trzeba było wynajdywać, klasyfikować, porządkować, wydzierając to wszystko z niesforniej mowy nawpół dzikiego ludu. Trzeba było zbadać wszystkie te niezliczone narzecza, różniące się niemal tak między sobą, jak języki narodów europejskich, a objęte jednak

ogólném mianem, bo z jednego pochodzące szczepu. Trzeba było nagiąć się do stanu dzikości tych ludów, żyć razem z nimi pod zadymionemi jurtami, żywić się potrawami, o których wspomnienie samo w każdym Europejczyku wstręt by obudzało, wtajemniczyć się w obrzędy ich religijne i mistyczne zabobony; trzeba było wreszcie w mniemaniu ich stanąć na równi z tymi, których oni za bóstwa żyjące uważają, ażeby wydobyć ten cały zasób wiadomości nieznanych dotąd, nauki niedostępnej jeszcze dla nas. Człowiek który przebył tyle niebezpieczeństw, który takie trudy podjął, który tak ciężkie chwile przeżył, uczynił więcej dla wiedzy i nauki, od wielu setek rozgłośnych wynalazców, którym odkrycia ich zapewniła milionowe majątki i sławę niepożyłą.

Kowalewski urodził się w r. 1800 w Grodzieńskim; szkoły skończył w gimnazjum świsłockiém, uniwersytet w Wilnie, gdzie studentem jeszcze zasłynął niepospolitą znajomością języków starożytnych; tam bowiem przetłumaczył z greckiego dzieło Longina *O górności* i wydał sześć ksiąg Przemian Owidyuszowych, z własnemi komentarzami, za które otrzymał nagrodę przeznaczoną za najlepsze w tym rodzaju dzieło. A nie mówię już o pracach jego rękopiśmiennych z owéj epoki, które wraz z całą, z wielkiém staraniem zebraną biblioteką zaginęły w Wilnie, przy wyjeździe jego z tego miasta w r. 1824. Był tam między innymi przekład dziewięciu ksiąg historii Herodota, przekład nader szacowny, bo obok naukowej wartości, był owocem niepospolitych studyów literackich nad pisarzami naszymi z XVI wieku, których język, według

zdania Kowalewskiego, najwięcej się zbliżał do sposobu wyrażania się i stylu Herodotowego.

Zasługi młodości Kowalewskiego, który w 23 roku życia już był przeznaczonym na profesora języków greckiego i łacińskiego w Wilnie, zaś w 1829 r. miał sobie dwukrotnie ofiarowaną katedrę uniwersytecką, jużby starczyły na zapewnienie mu znakomitego stanowiska pomiędzy uczonymi krajowymi; prawdziwy jednak zwrot w jego życiu, odkrycie rzeczywistej drogi, która odtąd miała się stać jedynym celem prac jego i dążności, datuje od chwili, w której przygotowawszy się w Kazaniu w nauce języków wschodnich, pod kierunkiem znanych zaszczytnie na tém polu profesorów, Franciszka Erdmanna, A. Mirzy Kazem Bega, rodowitego Persa i Ibrahima Chaffina, rodowitego Tatarzyna, udał się na Wschód, żeby sam zbadać mowę, zwyczaje i religję tych nieznanych prawie ludów.

Dzieła, bibliotekę całą spisaćby należało, gdybyśmy chcieli, dążąc w ślad za nim, opisywać wszystkie zwidzone przez niego kraje, ludy, plemiona, odkrycia, jakie na każdém prawie miejscu poczynił, bogactwa jakich przysporzył dla wiedzy i nauki ludzkości. Dziwimy się trudom i zasłudze jakiegoś Niemca, który wynalazł stary, zapyłony, nawpół podarty rękopis, gdzieś pomiędzy ukrytymi w zakątku góry mnichami; Kowalewski w podróży swojej rękopisy takie liczyć może na setki, a ileż to on rzeczy nowych, a przynajmniej nieznanych dotąd odnalazł i stworzył.

Najbardziej jednak godnym uwagi jest pobyt Kowalewskiego w Pekinie, gdzie bawił przez *ośm miesięcy* w r. 1830.

Dzisiaj zaledwie po wielkiej wojnie, która choć w części otworzyła dla cudzoziemców stolicę Niebieskiego państwa, kilku śmiałych podróżników i badaczy poszczycić się może, iż wydobyli coś z tajemnic ukrywających przed Europejczykami stolicę Bogdyhanów. Hrabia Russel Kilbourgh, który ukradkiem zwidził Pekin kilkanaście lat temu, zaledwie odważając się wydalać ze swojego mieszkania, i nie mając ani możności, ani sposobności wtajemniczenia się głębiej w życie tameczne; księża misjonarze Huc i Cabet, doprowadzeni tam jako więźniowie stanu i jako więźniowie wydaleny z tamąd, europejski zyskali sobie rozgłos opisem swoich podróży, z tego mianowicie względu, iż potrafili dotrzeć do Pekinu przed wojną francuzko-angielską. Wprawdzie w wiekach XVII i XVIII, a nawet i w bieżącym, bawiły tam przez pewien czas misye jezuitów, ale zasoby wiadomości miejscowych, jakie członkowie tych misyi podczas pobytu swojego w Pekinie nagromadzili, zaginione w znacznej części, nacechowane są w pozostałej reszcie jednostronną dążnością; jezuitom bowiem szło przede wszystkim o to, ażeby przygotować sobie sposobny grunt do zakładania na nim podstaw katolicyzmu, i wszystko co tylko nie dotyczyło tej głównej zasady, stawało się dla nich mało zajmującym. A zresztą i z tych zasobów skorzystał Kowalewski, dotarwszy do ich źródła, przez czas bowiem pobytu swojego w Pekinie miał sposobność zabrania tam znajomości z biskupem katolickim Piresem, z rodu Portugalczykiem, który przez czterdzieści lat bawiąc w Chinach, pracował w missyi katolickiej, otoczony mnó-

stwem księży i nawróconych na wiarę chrześcijańską krajowców.

Ale więcej daleko zyskał nasz uczony z bezpośrednich stosunków z samymi krajowcami, ze znajomości jaką zabrał z kilkoma nezonymi i literatami chińskimi, a przede wszystkim z przyjaźni jaka go łączyła ze wspomnianym już przez nas na początku tego artykułu Buddą wcielonym Mindźulem Ohu-tu-ktu, który po cesarzu, a może i przed nim, był najznakomitszą, lub przynajmniej największą czcią otoczoną postacią Srodkowego państwa.

Spotkanie się ich i poznanie było przypadkowe, a Min-dźu, przekonawszy się o zdolnościach i nauce młodego Polaka, zażądał od niego żeby go kształcił w nauce historii i geografii, według zachodnich pojęć. Sam zato zobowiązał się wykładać mu zasady wiary, której był jednym z naczelników i przedstawicieli, oraz całą tę mądrość mistyczną Wschodu, która wszystkie nauki skłania tam ku badaniom i kontemplacyi. Był to pierwszy i jedyny zapewne wypadek zawiązania tak ścisłych stosunków pomiędzy szaberonem a jednym z cudzoziemców, tak wstrętnych im zwykle, zwłaszcza stosunków na stopie równości, co każdemu ze znających stanowisko tych bóstw wcielonych wcielonych wschodnich i część jaką one otaczane bywają, wydać się może rzeczą niepodobną do uwierzenia.

Z takięj to, raz za ledwie w całym szeregu wieków mogącej się wydarzyć sposobności korzystając, Kowalewski potrafił dokładnie zgłębić całą filozofią i mistycyzm

buddaizmu, odnosząc się do najczystszej wyrażenia jego, a śledząc bacznie wszystkie zabobonne objawy i materialne skażenia, jakie zanieczyściły to tak idealne w swym początku wyobrażenie o bóstwie. Tam także potrafił zdobyć mnóstwo nieocenionych i nieznanych dotąd nikomu materiałów historycznych, geograficznych i lingwistycznych, na których należyte uporządkowanie i rozklasyfikowanie starczyłoby zaledwie całe życie człowieka. Na poparcie tych twierdzeń naszych, przytoczymy jeden fakt z tysiąca.

W jednej ze swoich rozmów naukowych, prowadzonych z Mindżułem, Kowalewski dał się słyszeć, jak nieocenioną jest stratą dla nauki, iż dotychczas nie mamy jasnego wyobrażenia ani o pochodzeniu, Dżengishana, ani o historii jego dynastji.

Na to Min-dżuł uśmiechnął się.

— Ja może tylko jeden na świecie, odrzekł, mogę w tym względzie zadowolić twoje życzenia. Pomiedzy licznymi władcami mongolskimi, uległymi mojej zwierzchności duchownej, istnieje potomek Dżengishana w prostej linii, a wiadomo mi że u niego przechowane są księgi zawierające dzieje całej rodziny, od pierwszego jej zawiązku. Jutro wyślę do niego umyślnego lamę; na moje żądanie każe on te wszystkie księgi przepisać i będziesz je miał za parę miesięcy.

I w istocie; w oznaczonym terminie księgi owe przybyły do Pekinu, a Mindżuł, wywiązując się ze swojego przyrzeczenia, podarował je Kowalewskiemu.

Niestety! tak owe księgi nieoszacowane, tłumaczone i uporządkowane dokładnie przez Kowalewskiego, za których odstąpienie napróżno uczeni angielscy ofiarowali mu znakomitą sumę, jak i historia buddaizmu, spisana i obrobiona przez naszego orientalistę z jedynych wiarogodnych źródeł, zaginęły, wraz z mnóstwem innych ksiązek i rękopisów.

Pomiędzy temi ostatnimi zasługuje szczególnie na uwagę cały kurs historyi starożytnej, ludów wschodnich, przygotowany już do druku, według niedostępnych dla nas źródeł, które podług chińskiej, mongolskiej i tybetańskiej tradycyi, objaśniają i dopełniają niezmierne luki, w tych oddalonych dziejach starożytnego Wschodu dla nas istniejące. Nowy zupełnie blask rzuciłoby to dzieło na przebieg dziejów Assyryi, Babilonii, Baktryany, Chaldei, Medyi i dawniej Persyi, o których dziś zaledwie sylabizować nauczyliśmy się ze szczątków dawnych pomników, tu i owdzie z łona ziemi wydobytych, łącząc wiadomości ztamtąd zebrane, ze szczupłemi, a po części przekształconemi tradycyami, jakie nam przechowali historycy greccy, wspomżeni przez kilka drobnych i bardzo niedokładnych urywków Beroza i Sanchoniatona. W owem to dziele mielibyśmy to wszystko, wraz z mnóstwem nieznanym nam szczegółów, daleko dokładniej i systematyczniej wyłożone, a strata jego jest nieocenioną szkodą nie już dla nas samych, ale dla całej Europy.

Po powrocie z Pekinu Kowalewskiego spotkał w Kiachcie niespodziwany zaszczyt; dowiedział się bowiem przez

posłańców tatarskich, iż stepami mongolskimi wiozą mu książkę, spisaną dlań na pamiątkę przyjaźni przez samego Min-dżuła, a zawierającą zasady filozofii moralnej, czerpanej z buddaizmu. Żeby dać pojęcie o ważności tego podarunku, powiemy tylko, że kilka liter napisanych własnoręcznie przez Min-dżuła na świstku papieru, uważane są za nieoceniony dar i nieoszacowaną pamiątkę przez wangów tatarskich i samego nawet cesarza chińskiego, jeżeli szaberonowi podoba się którego z nich obdarzyć taką łaską. Cała więc książka przez wcielonego Buddę w podarunku pamiątkowym pisana, była jedynem i zadziwiającem zjawiskiem, na wieść o którym, wszystkie ludy, kapłani, książęta z okolic przez które skarb ów przechodził, gromadzili się po drodze, bijąc pokłony i uderzając czołem o ziemię przed wielbłądem świętość wiozącym. Wręczono ją Kowalewskiemu z uroczystym ceremoniałem, i od tego czasu, jako posiadacz tak drogocennej pamiątki, mógł on już być pewnym nieograniczonego uszanowania i religijnej czci wszystkich ludów, dla których Min-dżuł był bóstwem wcielonym.

I stało się też że podczas powtórnej podróży za Bajkałem, w r. 1832 przez Kowalewskiego odbytej, spotkał on się ze słynnym tamecznym pustelnikiem, nazwiskiem Doł-san-dor-dzi, przez ludy okoliczne za świętego uważanym, a ten, zawiadomiony już o stosunkach naszego podróżnika z szaberonem i wielkiej łasce przez tego ostatniego mu wyświadczonej, oraz przekonawszy się w rozmowie z nim o głębokiej jego znajomości najnieodstępniejszych tajemnic buddaizmu, przepowiedział mu, że w na-

stępném odrodzeniu wcieli się on w Mongolii jako żywy Budda. Ta przepowiednia, połączona z wieścią o podarunku Mindżuła, przeszła błyskawicą przez obszar wszystkich mongolskich ludów i pokoleń. Wkrótce wangowie, lamowie i szaberonowie tamtejsi, wysłali do Kowalewskiego uroczyste poselstwo, z wręczeniem mu nominacyi na szaberonona (Buddę wcielonego), opatrzonej siedmdziesięciu dwoma podpisami wszystkich tamecznych najznakomitszych osobistości. Po otrzymaniu téj nominacyi, w wyobrażeniu ludów tamecznych Kowalewski został więcej niż lamą, więcej niż księciem, więcej niż królem, więcej niż świętym, bo żyjącém bóstwem.

Nieprawdaż, że wydaje się to wam opowiadaniem gdzieś ze wschodnich wydobytém baśni, a jednak ten człowiek żyje pomiędzy nami, możemy go wszyscy spotkać, widzieć, mówić z nim, korzystać z jego tak wielostronnej nauki i rozległego ukształcenia; a wierzajcie mi, że z jednej godziny rozmowy z Kowalewskim więcej wam przybędzie wiadomości, aniżeli z przeczytania całych tomów ciężkich i nużących wykładem książek.

Bo pomimo swojej nominacyi na Buddę żyjącego, pomimo stosunków z Mindżulem, pomimo czci jaką ludy wschodnie dotychczas mu oddają, pomimo znajomości języków: arabskiego, perskiego, tatarskiego ze wszelkimi jego dyalektami, chińskiego, mandżurskiego, tybeckiego, sanskryckiego, zendskiego, greckiego, łacińskiego i kilku nowożytnych, pomimo wezwania go na członka wszystkich niemal uczonych towarzystw europejskich, pomimo téj ca-

łej pracy, téj ogromnéj nauki, tylu zasług, takiej przeszłości, jaką rzadko kto poszczycić się może, Kowalewski jest człowiekiem skromnym na podziw i tak mało tuszącym o sobie, jakby to przystało na któregośkolwiek z najzwyczajniejszych ludzi. A jednak liczni monarchowie europejscy zaszczycali go własnoręcznemi listami i upominkami, najznakomitsi orientaliści niemieccy, francuzcy i angielscy mają sobie za zaszczyt znoszenia się z nim listownie i radzenia się go w zawilszych kwestyach, a nawet ksiądz Huc, niedawno zmarły, który uchodził dotychczas za najsumieniejszego badacza Wschodu i najdokładniejszego sprawozdawcę o Tybecie i o Chinach, przesłał mu w swoim czasie dzieła o tych krajach napisane, z prośbą o poczynienie na nich uwag, do których przyrzekał się wiernie zastosować, jako do uświęconej przez cały świat uczony europejski powagi.

Taką to jest nauka, taką powaga męża, którego posiadamy między sobą.

Pozwólcie, żebym dla uwydatnienia myśli jaką chciałem tu wypowiedzieć, zakończył nieudolny mój artykuł przytoczeniem wyjątku z nauki moralnej Buddy.

....., Pewien szarmana, pędzący noce całe na śpiewaniu modlitw, okazywał dnia jednego w głosie smutnym i stłumionym wielki ucisk serca i chęć powrotu do świata. Budda kazał zawołać tego szarmanę i rzecze do niego:— Coś robił, gdyś zostawał na łonie rodziny swojej?— Brzdąkałem nieustannie na gitarze.— Więc rzecze mu Budda:— Cóż było, jeżeli ci się opuściły struny gitary? — Nie wy-

dawały dźwięku. — A jeżeli struny nadto były wyciągnięte, co się działo? — Dźwięk stawał się zbyt ostrym. — A gdy struny były w miarę naciągnięte? — Wszystkie wtedy tony zgodną tworzyły harmonię. — Tedy rzecz Budda te słowa: — Tak samo rzecz się ma z ćwiczeniami w nauce. Jak skoro zaczniesz panować nad sercem swoim i umiarkujesz wolę jego, dojdzie ono wtedy do znajomości prawdy!“



F

8741